

W numerze: JERZY WILMAŃSKI *Dożynkowy korowód* • KAROL BADZIAK *Dożynki w Mąkolicach*  
 • BOGDA MADEJ *Krzyk nad wodą* • HALINA CYWIŃSKA *Zaraza przychodzi niespodzianie* •  
 Recenzje • Z kraju i ze świata • Nowela kryminalna

# O d g ł o s y



35 (771)  
 27. VIII. 1972 r.  
 Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV



Fot. W. Parys

RYSZARD BINKOWSKI

## Narodziny „Kaliny”

Dawna ulica Obywatelska, cicha, w kocich łbach, z tonącymi w zieleni domkami. Sielsko tu było, sennie, czasem jakiś topielec lub miłosa tragedia nad „Czarną Wodą” wrywały mieszkańców z drzemki spokojnego dnia.

Tak było dwadzieścia lat temu. A dziś znajdziesz tu wszystko: sterty słomy, iskrzące się w słońcu ćwiczebne „biesy” na tafli błękitu, pędzące pociągi, samochody; za torami nowe place budowy, pasące się krowy, młody dąb usypany po koronę żółcią piasku, rozbiране w pośpiechu stare domki i nowsze, jeszcze zdrowe wille — tu wkrocza nowa Retkinia z osiedlem dla stu tysięcy.

Rozszerzyła się ulica Obywatelska, pokryła lśniącem asfaltem; nad nią, na wygiętych długich szyjach ślepią lamp rtęciowych, a pod nimi, w pisku opon — wywrotki, samochody osobowe i czerwone autobusy linii „69”, których dotąd nie było...

W tę ulicę, na kresach miasta, gdzie już łąki, lamy zboż rozkolysane, rzucano kawał przemysłu i dokonano się odwrócenie krajobrazu. Gdzie niedługo kumkały żaby lśnią w pełnym słońcu ostro ścięte wyszlusowane dachy fabrycznych hal.

Pośród nich, odbył się 20 lipca 1972 roku uroczysty ceremonial, w którym brali udział m. in. I sekretarz KŁ PZPR — B. Koperski, minister przemysłu lekkiego — T. Kunicki, sekretarz CRZZ — J. Sroczyńska i przewodniczący RN m. Łodzi — J. Lorens.

20 lipca, kiedy w Łodzi nastąpiła dnj szczerzej, spontanicznej radości, kiedy 5,5 tys. młodych Polaków zamianifestowało swą gotowość do ofiarności i patriotyzmu poprzez pracę, dokonano otwarcia największego w Łodzi zakładu dziewiarskiego „Kalina”.

Przecięto wstęgę...

Codzienna prasa donosiła o ogromnych nakładach, o tych 762 mln zł, z których aż 425 przeznaczono na zakup drogich, zagranicznych maszyn cottonowych. Pisano, że co roku „Kalina” da 5,8 mln sztuk wyrobów dziewiarskich za sumę 1,8 mld złotych.

Ale jeszcze wcześniej, bo 19 lipca 1972 r. gazety zamieszczały w wielkich nagłówkach informacje, że dzięki ofiarności młodej za-

Dalszy ciąg na str. 4

KAROL BADZIAK

## Dożynki w Mąkolicach

Zaproszenie na dożynki w Mąkolicach było z politycznym dopiskiem: „Dojazd przez Stryków i Koźle. Przy okazji prosimy bardzo o scharakteryzowanie tej drogi. Może w ten sposób „Odgłosy” poruszą ser-

ca Władz Powiatowych i nareszcie doczekamy się drogi z prawdziwego zdarzenia”. Oczywiście chętnie zawsze poruszymy serca władz, ale myślimy, że w tym wypadku byłoby lepiej, gdyby władze same tą

drogą się poruszały. Niestety, władze powiatowe jeżdżą do Mąkolic przez Głowno, trasą dobrą, gładką. Bo z Mąkolic do stolicy powiatu, czyli do Łowicza droga jest jak po różach, tylko do stolicy województwa jedzie się jak po grudzie. Niemniej jadąc na tak wspaniałą uroczystość jak dożynki, nikt nie zwraca uwagi na takie drobiazgi. Jechać zaś do sławnych Mąkolic to nie było co, to prawie tak, jak by się jechało w sam środek Polski, rzecz jasna geometryczny środek. Co prawda oficjalnie znajduje się on w Piątku, w Mąkolicach jednak ludzie wiedzą swoje. Wiedza, że środek Polski jest w ich wiosce, a ściślej ich wioska jest w środku Polski. Wojna o lokalizację kamienia z napisem: „W tym miejscu

znajduje się środek Polski” trwała między Mąkolicami a Piątkiem przez wiele długich lat. W końcu Piątek zwyciężył, kamień umieszczono na rynku miasteczka, koto stacji benzynowej, lecz tak naprawdę to powinien znajdować się w Mąkolicach między kościołem a szkołą. Po prostu w Piątku mieli lepszych adwokatów. Toż płaćkowanie mają niechęć zaprawę w pieniaczynie, czterysta lat prowadził pyskówkę z Piekarzami, Lubnicą i Janowicami o poszerzenie granic miasta. I wygrali. W tym roku miały 110 lat od tej pamiętnej wiktorii. Po wyragnej sprawie obrona Piątku, mec. Thleme tak pisał: „...Miasto nasze przeszło od lat czterystu zagrożone było przez ościenne domina... procesem granicznym o łąki, grunty i

pastwiska — obecnie... odzyskało swe granice i teraz odetchnąć może błogiem z tytułu tego spokojem...”  
 Przegrać z takim partnerem to nie dyshonor dla Mąkolic. Zresztą przez setki lat Piątek i Mąkolice znajdowały się w jednym kluczu, kluczu dóbr arcybiskupa gnieźnieńskiego. Wiesz przegrała licytację o geometryczny środek, ale nie dała za wygraną w innych sprawach. Postanowiono urządzić tam co roku najlepsze dożynki w kraju. I to nie gromadzkie, powiatowe czy wojewódzkie, lecz zwyczajnie — wiejskie dożynki, z przyspiewkami i tańcami, z artystycznymi występami i zabawą ludową, z orkiestrą doborową i bufetem obficie zaopatrzonym w czystą wyborową oraz lody marki „Bambino”,

W tym roku dożynki odbyły się w niedzielę, 13 sierpnia. Dojechała cała wieś, boisko szkolne zarolło się barwnymi księżakami strojami. Słyszano to ubiorry, szyste tu, na miejscu dla siebie, nie dla Cepelli. Tylko wyrafinowany znawca, kostumolog lub etnograf spostrzeżby, że stroje te są cokolwiek różne od strojów łowickich. Takie już są całe Mąkolice, że wszystko muszą mieć ciut, ciut inne niż wszyscy. Budynki nie frontem, a szczytem do drogi stawiają, ponoć to zwyczaj tatarski. Mąkolice — niektórzy wywodzą tę nazwę od Mongollic... Mongolów osiadłych tu

Dalszy ciąg na str. 3



# DOŻYŃKOWY KOROWÓD

„Plon niesiemy, plon” — ten dożynkowy śpiew brzmi nad skoszonymi polami od wieków. Święto plonu, święto dobrze zakończonej roboty ma w Polsce tradycje stare i piękne. „Są podania — rzece Zygmunt Gloger — że za ukończone pomyślnie żniwa dawni Słowianie odbywali dziękczynienia bóstwu, połączone z igrzyskami narodowymi i opiewaniem czynów bohaterów, zamożności i dokonanych prac rolnych gospodarza, którego niwę sprzątnięto, i który sąsiadom swoim biesiadę z tego powodu wyprawiał”.

Dożynki, wieńcowiny, okężne — straciły dziś swój obrzędowy charakter, są symbolem, świętem ukończenia prac, zabawą ludową... Ale i czymś więcej. Są także symbolem innych czasów — bo i wieś dzisiaj inna.

Prezentujemy niżej fragmenty pieśni dożynkowych z powiatu wieluńskiego, jakże różne od tamtych sprzed lat, ale przecież tkwiące w dożynkowej tradycji. Wieś dzisiaj inna — inne więc treści dożynkowych przyspiewek. Pan Tadeusz Ciach, który nam owe materiały udostępnił, pisze: „W programie korowodu dożynkowego dominującą pozycję zajmują satyryczne przyspiewki. W piosenkach tych poddaje się krytyce wszelkie ujemne zjawiska, chłosta się nieraz Gminną Spółdzielnię, Kółko Rolnicze, sołtysa... Piętnuje nieudolność w zaopatrzeniu sklepów, złą jakość środków do produkcji rolnej, burokrację, kumoterstwo...”. Ale głównym motywem dożynkowego święta jest radość z dobrze wykonanej pracy i dumą z trudu rolnika. Trudu, którego owoce spożywać będziemy wszyscy. Ten — powiedziałbym — społeczny motyw ożywia dziś dożynkowe korowody. Terkot traktorów zagłusza świergotanie przepiórki ze starej pieśni:

„Hej wyleć, wyleć pstra  
przepiórko  
Bo już nie wyjdziem na to czyste  
półko  
Plon niesiemy, plon”.

Przepiórka gnieźdząca się w zbożu i śpiewem swym ożywiająca ciszę łanów, była przecież w dawnej Polsce ptakiem symbolicznym. W jej dźwięcznym głosie ludowa fantazja kazała słyszeć na wiosnę wołanie: „pójdźcie pleć, pójdźcie pleć”, a w lecie: „pójdźcie żać, pójdźcie żać”, jesienią natomiast, po żniwach: „nie ma nic, nie ma nic”. Dziś nie

ptak jest symbolem, lecz „maszyny z naszych hut” — jak śpiewają w Wieluńskiem. Dziś dożynkowy wieńiec nie wędruje pod biały ganek dworu, ale przez wieś — od chaty do chaty. Stary prasłowiański obrzęd wypełnił się nową, współczesną treścią.

Nie miejsce tu na analogie, ale niech za wymowny symbol posłużą choćby te dwa fragmety. Pierwszy z wieków minionych, kiedy żniwiarze śpiewali:

„Plon niesiemy, plon  
w jegomości dom,  
Otwórz, panie, szeroko wrota  
Niesiem ci wieńiec z szczerego  
ziota”.

I ta dzisiejsza, współczesna, która brzmi:

„Przeacni gospodarze  
udał się nam pięknie plon  
złotego ziarna pełen dom.  
Ze starych nie pamięta nikt  
takiej pszenicy, takich żyt.  
Piękniejsza praca, lżejszy trud  
dzięki maszynom z naszych hut.  
Bo Polska Ludowa o chłopca dba  
i wszystkie maszyny da”.

Nie „jegomości”, nie „panu”, ale gospodarzom śpiewa się dzisiaj pieśń dożynkowego korowodu:

Drodzy gospodarze, przeacni  
wiodarze  
Ten symbol trudu żniwnego  
prosimy przyjąć w darze  
od nas i wszystkich tu wokół  
dziecie jak dotychczas, nie dużo  
nie mało  
aby dla wszystkich stało.

Choć w czasie żniw i kosy czasem wziąć trzeba do rąk, to nie one są symbolem, ale żniwiarki i traktory. Więc inaczej śpiewają dziś dziewczęta:

Zanim jednak przyszyły żniwa  
Rolnik musiał ziemię zorać  
orał sochą, konnym plugiem  
dziś to robi już traktorem  
Już nie szumi zboże w polu,  
choćby wiatry wiał,  
teraz w naszym żniwnym wianku  
wstażki zasumiały.  
Zagon pusty, ani kłoska, zboże  
Już w stodole,  
ale za to jadła, picia pełno dziś  
na stole.  
Już nie szumią grabie w polu  
i kosa nie dźwięczy.  
Teraz sobie przy muzyce  
potancują żęncy.

Suną traktory i huczą jak dzwon  
i dają swe siły, by lepszy był  
plon

Kiedy się kończą żniwa, kiedy zamiera praca w tej ogromnej fabryce chleba pod gołym niebem, żniwiarze śpiewają w dożynkowym korowodzie, niosąc spleciony z żyta wieńiec:

Wieńcu żniwny, kłósty, kiedy idziesz z wieńcami  
to jak pole wiosenne, lśniesz  
wszystkimi barwami.  
Każdy wdzięcznym uśmiechem  
jak plon żniwny cię wita  
w tobie piękno pól naszych,  
zapach kwiatów i żyta.

Wczoraj pełno było pracy,  
a dzisiaj święto  
W polu jeden kłos nie został,  
wszystko uprzężnięto.  
Wczoraj traktor chodził w pole  
a żniwiarka za nim  
dzisiaj chłopcy i dziewczęta  
pięknie przybraли  
Wczoraj jeszcze plon był w snopie  
a ziarno w kłosie

dzisiaj stoi chłop przy chłopie,  
do tańca prosil  
Dziś będzie ten śpiewał, ten  
będzie tańcował  
co na polu w żniwa rąk nie  
pożałował,  
co rąk nie żałował, nie szczenił  
możołu  
ten wieńiec dziś z nami poniesie  
pospoju.

Przodownice wianek wiodą  
Niby strojną pannę młodą.  
Przystroily go w kwiaty  
Bo urodzaj był bogaty  
A gdy lepsze będą plony  
Będzie piękniej przystrojony.

Tego roku chyba wieńce dożynkowe będą szczególnie pięknie przystrojone, bowiem „ze starych nie pamięta nikt takiej pszenicy, takich żyt”. Piękne też będą korowody dożynkowe, jak Polska długa i szeroka. Poniesie się pieśń z prastarym motywem: „Plon niesiemy, plon”.

Wg materiałów zebranych i opracowanych przez TADEUSZA CIACHA.

Oj ziarno, ty matko rodzona  
przypuślasz ty wszystkim do łona  
Oj dajesz ty życiu swe siły  
a rozkwieciesz kwieciele z mogily  
Oj ziarno, ty matko kochana  
a bądźże ty ludzkom zjednana  
kto serce ci swoje oddaje  
niechaj w tobie matkę poznaje



Foto: A. Wach

## Dożynki w Mąkolicach

Dalszy ciąg ze str. 1

przed wiekami. Pani Osieńska, która spędziła w tej wsi czterdzieści lat jako nauczycielka, jest zdania, iż była to niegdyś kolonia karna dla Cyganów. Do tej pory mąkolice poznaje się po tym, że jedną nogawkę noszą w bucie, a drugą noszą na bucie.

W wyglądzie tutejszej ludności trudno jednak dopatrzeć się azjatyckich wpływów, twarze swojskie, uśmiechnięte od ucha do ucha, oczy błękitne, włosy płowe, natury słowiańskie. Jako się rzekło, cała wieś w komplecie stawiła się przystojnie na uroczystościach dożynkowych. Korowodem dowodził Marszałek Jan, zaś Gospoda-

ku, nawet wtedy, gdy opuszczają wieś na stałe, to po żonę jednak tu wracają.

Właśnie niedługo odbędzie się takie wesele. Jan Miszał, kierownik miejscowego zespołu pieśni i tańca, pracuje i mieszka w Łodzi, ale każdą niedzielę spędza w rodzinnej wiosce. W Łodzi jest nauczycielem muzyki, w Mąkolicach szanowany jest jako organista. Bywa, że gra czasem na organach w tutejszym kościele. Mąkolice to wieś wielce religijna, nie ma się zresztą czemu dziwić. Przez pięć wieków była własnością arcybiskupów, dopiero w 1796 roku przeszła na własność rządu. Religia konserwuje obyczaj, podtrzymuje tradycje. Zachowanie strojów ludowych jest zasługą proboszcza, który udziela ślubu młodym parom wyłącznie w strojach regionalnych, żądanych welonów i czarnych garniturów nie uznaje. Dzieci do komunii również są zobowiązane przystępować w łowickich pasiakach.

Dożynkami kieruje komitet świecki, więc obowiązują stroje dowolne. W cywilu młodzież mąkolicka wcale nie różni się strojami od młodzieży Chojen czy Widzewa. Tylko ci na estradzie (zbudowanej z przyczep ciągnikowych) występują w strojach ludowych. Rej wodzi wodził, czyli starosta, czyli —

z miejska — konferansjer, a z wiejska — gawędziarz. Pełni te funkcje z humorem i powagą Marszałek Jan, najzacieśniej człowiek we wsi. Monologami sypie jak z rękawa, a najwspółczesniejszy z nich jest o tym, jak na ekranie kina „Rialto” Gary Cooper miał sakpalo. W ramach produkcji artystycznej pojawił się na estradzie także motor, a na nim dziesięć dziewcząt, oczywiście, regionalnym. Obecność motoru na scenie Marszałek Jan wytłumaczył: „Żebyście nie myśleli, że tu wieś zacofana”. I w tym momencie ciężki rozrywkowa została przerwana. Starosta wręczył Gospodarzowi dorodny bochen chleba z solą. Chór zaś skandował: „Dostojny Gospodarzu! Przyjmij dar naszej ziemi — matki i owoce naszej pracy. Dzień sprawiedliwie, by dla wszystkich starczyło”.

Gospodarz podziękował i wygłosił przemówienie, oczywiście, żeby dodać powagi całej uroczystości, wygłosił przemówienie z kartki. Przypomniał, że dożynki były niegdyś składaniem przez chłopów hołdów swym panom — obszarnikom i ciemiężcom. Zakończył zaś: „Wydaje mi się, że będę wyraziłem wszystkich rolników z Mąkolic, skoro zapewnię nasze władze, że wszystkie zadania stawiane przed rolnictwem

na terenie Mąkolic w miarę istniejących możliwości będziemy realizować. Dziś na Mąkolicach święta, święto plonów, święto urodzaju i naszego wysiłku, zmartwień, rozczarowań, wreszcie święto optymizmu i zwycięstwa”.

Na tym oficjalna część została zakończona i zaczęła się ponownie część artystyczna, przystrojone dziewczęta, w strojach regionalnych, zaczęły śpiewać. A że Mąkolice to wieś rozpięta, więc dostało się i księgowej i sklepowej (za mało było napojów w czasie żniw) i meliorantom i strażakom („Jak zrobić zabawę, to jadą na hurra, a jak do pożaru — to nie ma mundura”).

Oprócz przygan znalazły się także i pochwały wierszowane, szczególnie pod adresem agronoma gromadzkiego, Zygmunta Białczyka: „Co to biednym i bogatym udziela pomocy, jak nie obsłuży w dzień, to obsłuży w nocy. Bo jak Gierk nastal, głosi w dzień i w nocy, aby biednym ludziom udzielać pomocy”.

Z tą biedą to trochę przesada, wieś nie jest zbyt zamożna, ale żyje się ludziom dostatnio. Dwadzieścia lat temu mąkolickie dzieci w wypracowaniu szkolnym pł. „Czym chciałbym zostać”, tak o sobie pisały: „Chcę zostać gospodarzem, mieć swoją ziemię, orać ją, nie poniewierać się po służbach”.

Albo: „Bardzo, bardzo chciałbym zostać rzemieślnikiem, bo wtedy mógłbym się najęść do syta mięsa i mieć zawsze dobry obiad”.

Dziś w tej wsi nikomu mięsa nie brak. Najprawdopodobniej spełniły się marzenia tego chłopca i wyrabia on teraz wędliny i kaszankę, z wyrobów tych bowiem Mąkolice słyną na cały powiat. Szkoda tylko, że ta produkcja jest nielegalna. Coż, gdy legalnie nie potrafimy zrobić wędlin smacznych. Rzeźnicy-amatorzy z Mąkolic powiadają, że wobec tego trzeba zdelegalizować państwowe masarnie, do podziemia je wpędzić, a zaraz jakoś wędlinę się poprawi.

Póki co, zaprosił mnie na degustację swoich wyrobów. Muszę powiedzieć, że w Mąkolicach dożynki były bardzo smaczne. Zaczęły się od chleba, a skończyły na zakąskach. Do tańca przygrywała orkiestra Jagliły, ale nie Władysława, ponieważ od stułeci żaden chłopiec tutejszy nie otrzymał imienia Władysława. Najpopularniejszy jest tu Jan i Roch, a i owszem Edward także jest akceptowany.

Oj dziwna, bardzo dziwna to wioska, rzekłbym nawet — nieco ekscentryczna.

KAROL BADZIAK













Jechaliśmy na muirowanego pewniaka, bo jakże by inaczej? Przecież to jasne, że na dwa miesiące w roku, na okres kolonii i obozów nasze utochane poleciały — same o tym nie wiedząc — zamieniają się w anioliów. Siła wyższa zatapia im ogórnicę kalkoniową amnesticą od najbliższych choćby katarów i angin, zapewnia miód i mleko, a może nawet pieczone gołąbki...

Takim to dobrze — mówi się o anioliach. Ci to się bieda — myśli o archanioliach, zadręszając błogie lenistwa na tonie natury i kto wie jakich jeszcze profiłów. Ma być fajnie i jest fajnie, jeśli wierzyć bez reszty słowu drukowanemu.

Niebiańskie towarzystwo i wersalskie obyczaje to jedno. A po drugie jechaliśmy do obozów harcerskich bałuckiego Ośrodka Szczępsów „Za Torem” i rzec by można ponadzielnicowo „Łódzkie Szczępsów”. Te zaś zespolony nawet na defiladach nie podobne do innych. Chłopa-ki na schwał jeden w drugiego, krok w mąszu trzymają, sple-wać im się chce, mundury zap-łatę na ostatni guzik. Dziew-czynny, choć w mniejszości, też jakieś niekobiece. Ci nam do- piero pokazały wyższą szkołę jaz- dy. Laurka jak marzenie!

Niedaleko wsi Zdory, w po- wiece Pisz, nad jeziorem Sek- sty, w sercu słynnej puszczy — jak dobrze się przyrzysz, do- strzegasz resztki jej niegdysz bu- nej urody mocno dziś nad- szarpniętej przez, pozał się Bo- że, turystów — przytulił się łódzcy harcerze.

Podjeżdżaliśmy do obozów późnym zmierzchem. Droga błotnista jak nieszczęście. — Jak oni żywność dowożą w ten cholerny las? Jak znoszą są- siedztwo turystów-żeglarzy, co to korek od butelki powachają i od razu figle im w głowie. Nie tylko harcerzy podchodzić, linki od namiotów podciąć, fi- gę z mąszu ściągnąć, pożar- tować troszeczkę.

„Zatorowcy” nie tacy, komu- ne surowa na obozach wprowad- dził, rodziców od przysykania wałów odzywczali, to i dro- dze dadzą rady. A i w „Szczę- glach” przecież wszystko musi być na wysokości polsk, choćby przyszło z chłopaków siódme pomy wysnąć. Tylko że spa- wania cienko...

Na wartowniach, zbudowa- nych z okraglaków, ledwo mi- gotały światelka latarek. U „Szczępsów” pełni wartę jeden z najmłodszych obowozowców. Już, już miał paść mamie w ramiona, ale pasek pod brodą i broń u boku — słowo daje — oryginalny zagraniczny straszak, a może nawet dwa — przypo- mniały mu o powadze funkcji.

— Mielidj komendantowi przy- jazd rodziców i cześć — wycią- gając rękę do wartownika, cho- ciał mam ochotę wycelować go z dubeltywką. Mama jest mama, ale służba służba. Zadud- niły pięty i już komenda stała na powitanie. — Witamy państwa w „Strasnym Dworze” (tak nazywa się oboz muzeum- nego bądż co bądż szczechu imienia Stanisława Moniuszki) i od razu mówimy na powita- nie: w obozach świerz, stwiera- dzony przez lekarów z Pisu. Jeżeli to jest świerz — har- cistrz Ryszard Zuchowski nie byłby sobą, gdyby tego nie powiedział — to ja go mam bez przerwy od 45 lat. I zaraz poważnie: u nas tylko trzech chłopców ma podejrzaną wy- sypkę, ale u Antka — znaczy u harcistrza Wojewody w „Za- torzu” — osypanych jest około setki.

Zaczęło się to we środę 2 sierpnia, w ósmym dniu obozo-

wania. Nasz lekarz uważał, że to uczulenie, ale musiał mieć pewność i wezwał specjalistę. Pani doktor z Pisu, dermatol- og naturalnie, stwierdziła auto- rytatywnie — świerz. Na po- niedziałek, 7 sierpnia, zapowie- działa San-Epid. Albo wykona- my przewidzianą na tę okolicz- ność dezynfekcję, albo wrócimy do Łodzi przed czasem.

— Macie państwo ostatnią szansę zobaczenia naszych obo- zów. Póki co, zapraszamy na koncert przy świecach.

Idziemy obozową uliczką, wy- znaczoną rzędem natfowych la- tarek. Nie świecą, bo naty chwilowo zabrakło. Podchodzimy do pięknego amfiteatru. Migocą plomyki świec na grze- myślinie zmastrzowanych świe- czników, Chłopy na scenie, w mundurowej gali. Na widowni harcercze z Pisu, sąsiedzi z lasu o krok.

Widzę jak Grzesz Borkowski, wywołany do solówki, ćaner- wuje się na całego. Delikatny i wrażliwy, nie cierpi Mozarta od czasu wyspy w Teatrze Wiel- kim. Jakos zmogłi Mozarta, Moniuszkę i Kodaly'a, rozru- szali się przy piosenkach har- cerskich, tych najbardziej uko- cachnych.

Po koncercie ognisko, apel i spać. Kładziemy się i my, za- mieniwszy z anioliami ledwo parę stogów. Myny mieli całkiem niegłębkie. Weale im się nie dzie- wie — po takiej harcówce.

Ostatecznie ten oboz zbudow- wali własnoręcznie w ciągu czterech dni. Bo archanioli, o- czywiście, dziwaczyli. Żeby na- wet namiotów nie rozbić. Pro-

HALINA CYWIŃSKA

WERFIKUJĘ ARCHANIOŁÓW CZYLI:

## Zaraza przychodzi niespodzianie

sto z podróży do roboty, zam- iast do wygodnego łóżeczka — jak na innych obozach. Przyczę trzeba samemu zbudować i to póżadnie. Zie zrobisz, że bę- dzieś spał. Szeszedziesiąt sie- kierki było w użyciu od rana do nocy i tylko dwa skałecz- na. Mimo, że połowa chłopców trzymała siekierkę po raz pier- wszy, nie mając zielonego po-jęcia, co się z tym robi. Archā- nioli razem z anioliami. Obow- iazywało — jak w Łodzi — prawo najsłabszego: wszelka praca na obozie, warty, co- dzienne samonocny i oceny zwierników wyznaczone są na miarę sił i możliwości. Przy zadaniach wspólnych, wymaga- nia dostosowane do najsłabsze- go. Im kto starszy, tym bar- dziej się na niego liczy.

Z szeszedziesiąt szczygłów prawie połowa jest na obozie po raz pierwszy. Latwo sobie wyobrazić, jak się naharowali. Za to oboz jest bajeźnicie piek- ny. Na mój gust, oczywiście, bynajmniej nie zepsuty nadmiar- rom podobnych. Jednakże Paweł Matejczyk, stary wyga, co to już z pięciu kuchni po- łowych grochówkę jadł, powiada, że chyba jednak średni. Może myśli o stanie ducha współobowozowców?.. Pozostaje przy swoim zdaniu, podpartym znajomością zasady karności, ład i porządku przestreganej tutaj z żelazną wręcz konse- kwencją. Utwierdza w nim wi- zyjatę z Głównej Kwatery. Zapisał w czarnej księdze (re- jestruje obozowe przewinienia, które „przestępa” wpisuje do- browolnie i własnoręcznie, za-

nim z anielską dobrocią uznane są za niebyłe): „Żeby choć trochę bałaganu!”.

Pewnie i chłopcy podpisałiby się pod tym, ale archaniol-ko- się pod niego! Heniek Krawczyk (w cywilu święto upieczony stu- dent PL) tylko z pozoru wy- gląda niewinnie. Archaniol-o- bożny, K. Kolodziejczyk, ucho- dzi za człowieka wolnego cha- rakteru, zaczem oko czasem przymknie. Zbyszek Wierucki, w Łodzi szczepowy, na oboz przyjechał się byćć jak jako księgowy, po niezwykłym udanym egzaminie magisterskim na PL. Nie powiem, żeby był najsus- rowszy, niemniej dzielczy i zna- jak własną kieszeń, lubi też wiedzic, co w obozie piszczy.

Surowy reżim, nie ma co u- krywać — myśle, przewracając się z boku na bok na połowym łóżeczku, bo dla rodziców jest komfort zamlast przycz.

Ciszę nocną rozdziera nagle ryk wesołej gromady. Niesie się od jeziora w stronę obozu. Są i amatorzy podchodów. Poder- wala się na nogi cała kadra. Z takimi nie ma żartów, nigdy nie wiadomo, co im strzeli do podchmielemych głów. Archā- nioli zamlast mieleżny ognis- tyczy, chwytają namiotowe og- niaki, wzmacniają warty osobli- cie. Jutro wstana, jak gdyby nigdy nie. Dzieci śpią jak susły po całym dniu harówki. Naslu- chuję uważnie. Najpierw o- strzegawcze, umówione znaki do bliźnich wart „Zatorza”. I u nich kadra już na nogach.

nie będą zaspokajają jego za- checianek. Najpierw na najbliż- szych, potem na zwierników w pracy, a potem... no prze- cież pełno takich dookola, co im się wszystko należy. Jak nie po trupach, to plecami taty się ustawa. Więc niedemokratyczny Antek wyróżnia i szanuje wy- łacznie tych, którzy na to za- służą.

Trzy są prawa żelazne u „Za- torowców” i „Szczępsów”. Tu i tam jednakowe, bo kadra in- struktorska jest z tego samego paia; wychowawców, dających przykład osobisty. Bo przecież to nieprawda, że wychowuje się teorią pedagogiczną. Ciagle jesz- cze człowiek jest tu niezastap- lony. Pełnokrwisty człowiek podleprze kulejącą teorię, słaby rozłoży idealna.

Więc Antek mówi tak: dzie- ciom dać trzeba wiele możli- wości wyboru. Ciesz, dajmy na to, zgłogować — masz za- główki, ale naucej się wcześniej pływac; ciesz strzelać — strze- laj, chłopaków zawsze do tego ciałnie; ciesz czytać — czy- taj, w świetlicy, u „Szczępsów” (a to przecież o krok) jest bi- blioteka, jak się patrzy i parę- nieszce tytułów gazet pod ręką. Ciesz jeździć na rowerze, więc się po kraju, bo od tego masz wakacje. Ale, na Boga, nie za darmo. Nic podanego na talerzu.

Nie umiesz? Potrafisz, jeśli zechcesz, nawet zacisnąć się zę- by. Dlatego właśnie te trzy su- rowe prawa: prawo komuny głoszące, że na obozie wszystko jest wspólne, a im kto starszy, tym większe jego obowiązki; prawo dobrovolności realizowa-

wiec nie musimy nawet korzy- stać ze ścierniska. W powiatow- wym mieście poczta zamknięta. Przyjechalim po 11-tej, a to niedziela przecież. Walimy do Komendy Powiatowej i domaga- my się udogodnienia linii specjalnej. Oficer dyżurny ma służbę w wojsku w Łodzi, a i nasze argumenty też miały swoją wagę.

Jest Olsztyn na linii, red. An- drzej Baltrocyk w domu! O- blicuje: uruchomić wszystkie chody. Bez chodów, naturalnie, też można dotrzeć do wojewód- zkiego specjalisty, tyle, że znacznie wolniej.

Następny telefon do kome- dantki chorągwi w Łodzi. Sły- sze, jak Antek wprowadza ją ostrożnie w sedno sprawy. Tylko wtajemniczeni wiedzą, ile nerwów kosztuje taki telefon, zaczynający się bardzo niewin- nym: „mam dla druhy niezbyt miłą wiadomość...”

— No to fajnie — mówi Antek odłożwszy słuchawkę — jak będzie trzeba, przyjedzie der- matolog z Łodzi. Na razie o- trzymałem rozgrzeszenie ze wszystkich dodatkowych koszt- ów. Rachunki oczywiście obow- iazkowe.

Ledwie skończył — Olsztyn do nas. Wojewódzki oficer dy- żurny pośredniczy w rozmowie. Notujemy jak szatan: „Wy- bierzcie dwoje, troje najbardziej zaatakowanych dzieci. Zgłoscić się z nimi w Olsztynie w po- niedziałek, możliwie o 8-mej rano, w szpitalu miejskim na oddziale dermatologii. Będzie czekał doktor Rybak. Z dziećmi powinien przyjechać obozowy

Antekowi jest przykro, że obo- zy dziaidawsko obwieszone su- sząc się bielizna. Tu też było wielkie pranie i mycie. Mam w nosie galę i świerz. Wbrew higienicznym zakazom witamy się z komendantami: R. Wojcikiem i A. Wróblew- skim. To już pokolenie instrukt- atorów, wychowanych w „Za- torzu”. Nie nie mówią, rozumi- my się na wejżenia. Anioły też się zjawiają.

— No i co wy na ten świerz, do domów pisaliście? — Ee, tam, od świerzbu gło- wa nie boli, a rodzice mogliby z obozów zabrac...

Gadaj tu z takim. Myślę zupełnie o czym innym. Zastanawiam się nad tym, dla- czego te obozy, najbardziej prze- cież reżimowe w całej cho- ragwi, są takie urzajające. Tu- taj na każdym kroku czuje się robotę wychowawczą. I to nie sezonowa. Nie dochodzi się do mistrzostwa od przypadku do przypadku.

Więc powiem wprost, cho- ciał to będzie nieznośnie wersal- ski: wiele osób mówi o mi- łości do dziecka, do dzieci. Znaczenie mniej potrafi coś tym dzieciom ofiarować, niewiele tylko jest gotowych codzien- nym postępowaniem udokumen- tować swoje słowa. Oni to po- trafiają.

Umówiliśmy się, że przyślą depeszę. Od razu w poniedział- ek z Olsztyna. W poniedział- ek — ezra. We wtorek nazy- napięte do ostatnich granic. We środę, późnym popołudniem — telefon: depesza do pani, prze- czyta?

„Wszystkie dzieci zdrowe. U- czulenie na glony w jeziorze. Zawiadom komendantkę, An- teka”. Dzwonile natechmiast. Ciesze się, że nareszcie napiszę coś niezapelnie anielskiego. — Proszę cie, nie pisz. Po co niepokoić rodziców? Opadają mi ręce.

Czy my, do diabła, wyjdzie- my kiedyś z przekiętego kręgu mitu o anioliach?...

W obozach tymczasem zwykły dzień jak co dzień. W kuchni pod kierunkiem mamy Marce- liokowej, bądż szósty raz gospo- darczy „Szczępsów”, krząta się zastęp służbowy. Przy Krzyżku Janiczu mama i tata obierają so- lidarnie kartofle. Jest najmłodszy i akurat trafia mu się służba w kuchni. Pewnie, że wolalby pójść z rodzicami na spacer. Regulamin obozowy nie przewi- dzuje jednak całonocnego świe- ta na okoliczność przyjazdu ro- dziców. Bo co by było, gdyby tak zwała się na głowę cała szeszedziątka?

ne od drobnolownego wyjazdu na oboz, po dobrovolność wart; i prawo najsłabszego. Do archanioli z grupami wieszki, chwytają namiotowe og- niaki, wzmacniają warty osobli- cie. Jutro wstana, jak gdyby nigdy nie. Dzieci śpią jak susły po całym dniu harówki. Naslu- chuję uważnie. Najpierw o- strzegawcze, umówione znaki do bliźnich wart „Zatorza”. I u nich kadra już na nogach.

Niedziela rano. Budź się, a z głowy nie chce mi wywie- trzyć sprawa tego cholernego świerzbu. W warunkach obozo- wych to jest kleska. Epidemia muirowana, powróć do Łodzi i, oczywiście, komentarze nie u- względnijające możliwości za- swierzbiętego aniola. Wyskakuj z namiotu, patrz na chło- پاکów, skłonna podzielić opty- mizm Zuchowskiego.

Trzeba iść do Antka Woje- wody. Oficjalnie pełni funkcję księgowego, ale przecież wiado- mo, że to komisarz ludowy w zgrupowaniu 350 dzieciaków. Do archanioli z grupami wieszki, chwytają namiotowe og- niaki, wzmacniają warty osobli- cie. Jutro wstana, jak gdyby nigdy nie. Dzieci śpią jak susły po całym dniu harówki. Naslu- chuję uważnie. Najpierw o- strzegawcze, umówione znaki do bliźnich wart „Zatorza”. I u nich kadra już na nogach.

Jeśli nie wiesz co zrobić, naj- lepiej pomyśl, mówię zawsze do mojego syna i teraz dopie- ro rozumiem, dlaczego niezmi- ennie złościł się taki „smro- dek dydaktyczny”. Mam!!! Mam w Olsztynie serdecznego kole- gę ze studiów, samego sekretarza partyjnej gazety. Nie to, żeby po protekcji spowodował przy- mknienie oczu. Tu chodzi o czas i co najwyżej dokładne, jeśli trzeba kliniczne, przebadanie dzieci.

„Nysa” już gotowa do jazdy. Z nami obozowy lekarz, a z nim dwu chłopaków, których wozł się na zastyrzki do Pisu. Droga obeschła już przez noc,

ścinnej ziemi radzieckiej. Dopiero w 1944 roku uczelnia znalazła się w Lublinie i wreszcie, w maju 1945 roku, została przeniesiona, już na stałe, do Łodzi. W 1964 roku otrzymuje nazwę Ośrodka Szkolenia Oficerów Politycznych im. Lu- dwika Waryńskiego oraz nowy program nauczania. W tym kształcie pozostaje do dnia dzisiejszego.

ODGŁOSY: Jakimi formami wiąże Ośrodek ze społeczeństwem łódzkim?

PLK SZYMAŃSKI: Przeróżne. Wielu naszych oficerów wygłasza odczyty i pre- lekcje w różnych instytucjach cywilnych, spotyka się zzałogami fabryk, z młodzie- żą robotniczą, szkolną i uniwersytecką. Szereg wykładowców naszego Ośrodka należą do aktywności instancji partyjnych różnych szczebli, pracuje w licznych or- ganizacjach społecznych, takich jak PTT-K, TPP-R, w klubach ŁOK, kołach ZBoWiD, w komitetach rodzicielskich, pełni funkcje radnych. Nasz Ośrodek ma pod opieką dwa miasta powiatowe: Ra- domsko i Pajeczno. Te kontakty są bar- dzo żywe.

ODGŁOSY: VI Zjazd Partii postawił przed całym narodem, więc także przed Ludowym Wojskiem Polskim, nowe cele. Jak kierowni- ctwo Ośrodka widzi realizację tych celów na gruncie uczenia?

PLK LUKASZEWICZ: Naszym głów- nym zadaniem, wynikającym z VI Zjaz- du Partii i jego Uchwał, jest dalsze doskonalenie treści i metod nauczania. Cały nasz aparat dydaktyczny nastawim- yśmy na wykonanie tego zadania, na po- głębiecie, usprawnienie oraz wprowa- dzenie wciąż nowych i coraz lepszych form nauczania. Dzięki temu już dziś

Archanioł Zuchowski, cho- ciał świerz kpił w żywe oczy z tej cholernej francy, szoruje chłopaków od stóp do głów i to od samego rana. Właśnie wyło- czył się z namiotu higieniczn- ą, że od razu pojaśniało w obozie. Ten ma zdrowie! Pokibicował jeszcze meczowy siatkówki, po- agiłował, żeby dobrze o nim napisać — ma słobosć do pro- pagandy!

Nareszcie czuję się jak mama i to od razu dwu synów. Pio- trek Kin, poniekad archaniol, bo podzastępowy, też potrzebuje muśnięcia po włosach, cho- ciał za skarbę by się do tego nie przyznał. Kusze chłopaków jabli- kiem — sprawdzając skutecz- ność prawa komuny.

— No, jedzcie, przecież przy- wieźliśmy owoce dla wszyst- kich, będą na podwieczerek. Solidarne oburzenie w głosie. Dziekujemy. U nas wszyscy jedzą równocześnie i tylko re- gulinowo — pusiki. Wyższa szkoła jazdy, z takim nie wy- gram. Za to jedzenie na tym obozie na pewno się nie mar- nuje — myśle, przypominając sobie pełne beczki na odpadki widziane na innych.

Przychodzi Antek Wojewoda. Świerzb nie świerz, ale „Za- torowskie” obozy też obejr- zuś musisz. Pięć lat nam to obie- cujesz.

— Antek, ja tu prywatnie... Przecież jednak wstaje. Je- stem im winna tę odro- binę szacunku za całe sze- śnaście lat archaniolowa- nia. A poza tym tyle razy pi- sałam cukierkowate laurki, bo miało przecież być fajnie. Tyl- ko jak wytumaczyć własnemu dziecku?...

Antkowi jest przykro, że obo- zy dziaidawsko obwieszone su- sząc się bielizna. Tu też było wielkie pranie i mycie. Mam w nosie galę i świerz. Wbrew higienicznym zakazom witamy się z komendantami: R. Wojcikiem i A. Wróblew- skim. To już pokolenie instrukt- atorów, wychowanych w „Za- torzu”. Nie nie mówią, rozumi- my się na wejżenia. Anioły też się zjawiają.

— No i co wy na ten świerz, do domów pisaliście? — Ee, tam, od świerzbu gło- wa nie boli, a rodzice mogliby z obozów zabrac...

Gadaj tu z takim. Myślę zupełnie o czym innym. Zastanawiam się nad tym, dla- czego te obozy, najbardziej prze- cież reżimowe w całej cho- ragwi, są takie urzajające. Tu- taj na każdym kroku czuje się robotę wychowawczą. I to nie sezonowa. Nie dochodzi się do mistrzostwa od przypadku do przypadku.

Więc powiem wprost, cho- ciał to będzie nieznośnie wersal- ski: wiele osób mówi o mi- łości do dziecka, do dzieci. Znaczenie mniej potrafi coś tym dzieciom ofiarować, niewiele tylko jest gotowych codzien- nym postępowaniem udokumen- tować swoje słowa. Oni to po- trafiają.

Umówiliśmy się, że przyślą depeszę. Od razu w poniedział- ek z Olsztyna. W poniedział- ek — ezra. We wtorek nazy- napięte do ostatnich granic. We środę, późnym popołudniem — telefon: depesza do pani, prze- czyta?

„Wszystkie dzieci zdrowe. U- czulenie na glony w jeziorze. Zawiadom komendantkę, An- teka”. Dzwonile natechmiast. Ciesze się, że nareszcie napiszę coś niezapelnie anielskiego. — Proszę cie, nie pisz. Po co niepokoić rodziców? Opadają mi ręce.

Czy my, do diabła, wyjdzie- my kiedyś z przekiętego kręgu mitu o anioliach?...

ną bazę gabinetową. Dysponujemy ponad dwudziestoma różnymi pracownikami specjalistycznymi. Na przykład pracownikami do przedmiotów społeczno-politycznych i ogólnowojskowych, bardzo interesującą, z punktu widzenia dydaktyki, pracownią języków obcych, wyposażoną w najnow- oześniejszą aparaturę naukową, i sze- regiem innych.

PLK LUKASZEWICZ: Dodajmy jeszcze do tego wszechstronną bazę polową, jak strzelnicę specjalnych typów, poligony treningowe, poligony saperskie, przeciw- lotnicze, przeciwnapalmowe, czy jeszcze inne. Jest to wszystko nowoczesna baza naukowo-ewiczeniowa, tym cenniejsza, że zbudowana rękami wykładowców, za co należą im się słowa uznania.

ODGŁOSY: Podpułkownik Sielarkowski, po- kazując mi interesujący gabinet tradycji Szko- лы, wspomniat, że Ośrodek wydaje własne czasopismo. Kto je redaguje?

PLK SZYMAŃSKI: Owszem, od kilku lat wydajemy kwartalnik pn. „Biuletyn koła wiedzy wojskowej”, redagowany przez Koło Wiedzy Wojskowej nr 280. Będąc w kręgu tych spraw, pragnę nadmienić, że Ośrodek dysponuje rozbu- czoną bazą wydawniczą, i że mamy bogato wyposażoną bibliotekę: naukową i beietrystyczną.

ODGŁOSY: Studia w Ośrodku są stacjonar- ne?

PLK SZYMAŃSKI: Tak.

ODGŁOSY: Jak długo trwa nauka?

PLK SZYMAŃSKI: To zależy od rodza- ją kursu. Ogólnie — do roku. Dodam od razu, że egzaminy są surowe, a wyniki dobre.

Rozmawiał:

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

# ZAGADKA SPRZED 33 LAT CZYLI TAJEMNICZY DEZERTER

Wiosną 1939 r. Niemcy hitlerowskie przystąpiły do koncentracji swych sił zbrojnych na granicach z Polską. Szczególnie duże zgrupowanie niemieckich armii miało miejsce na obszarze powiatów oleskiego i klucz-borskiego. Z tego obszaru, wrzynającego się w rejonie Wieruszowa, Bolesławca i Praszki klinem w polskie terytorium państwowe, miało wyjść we wrześniu 1939 r. główne uderzenie armii hitlerowskich w kierunku na Łódź oraz Piotrków, Tomaszów i Warszawę.

O fakcie gromadzenia wzdłuż polskich granic zachodnich większych regularnych jednostek niemieckich dobrze zorientowany był wywiad oraz

Naczelne Dowództwo polskich sił zbrojnych. Wywiad polski dostarczał na ogół dość dobrych informacji o rozmieszczeniu sił niemieckich. Odpowiedzią ze strony Polski na koncentrację wzdłuż naszej zachodniej granicy znacznych sił niemieckich było zmobilizowanie w marcu 1939 r. dwóch batalionów Obrony Narodowej „Wieluń I” i „Wieluń II”, wzmocnienie placówek straży granicznej żołnierzami ON. oraz skierowanie w rejon przygraniczny powiatu wieluńskiego drobnych jednostek sił regularnych.

Jak wiadomo, pierwszy termin realizacji Planu Weis wyznaczony został na 25 sierpnia 1939 r. Rozkaz ata-

ku na Polskę w tym terminie został jednak odwołany na skutek podpisania polsko-brytyjskiego traktatu o wzajemnej pomocy. Kolejny termin ataku na Polskę wyznaczony został na 1 września o godz. 4.45.

Gdy atmosfera politycznego napięcia w Europie sięgała zenitu, gdy od napaści armii hitlerowskich na nasz kraj dzieliły już tylko dni, granicę polsko-niemiecką w rejonie Praszki przekroczył samowolnie, w pełnym uzbrojeniu bojowym, 20-letni żołnierz hitlerowskiego Wehrmachtu, Johann Hammermueller. Pochodził on z Gross Grillowitz, a powołany został do czynnej służby w Wehrmachcie w styczniu 1939 r. i otrzymał przydział do 5 kompanii 40 pułku piechoty w Augsburgu.

Żołnierz ten, przekroczywszy nielegalnie polsko-niemiecką granicę państwową, oddał się w ręce polskiej straży granicznej. Prawdopodobnie celem jego dezercji było poinformowanie strony polskiej o mającym nastąpić 25 sierpnia 1939 r. ataku wojsk hitlerowskich na Polskę bez wypowiedzenia jej wojny.

Funkcjonariusze Policji Państwowej w Praszce, którzy prowadzili pierwsze przesłuchanie dezertera, przyjeźli tę wiadomość z wielką podejrzliwością i nieufnością. Czyn tego żołnierza zakwalifikowany został jako kolejna prowokacja niemiecka lub też chęć wywołania przez Niemców paniki wśród polskiej ludności cywilnej. W realne możliwości wybuchu wojny, mimo bardzo napiętej sytuacji, mało kto wierzył. Buńczuczne oświadczenia Rydza-Smigłego oraz powołanie polsko-brytyjskiego porozumienia umacniały wszystkich w przekonaniu, że Niemcy nie odważą się rozpętać wojny na dwa fronty. Propaganda polska w rejonie przygranicznym wykorzystywała również i ten fakt, że Niemcy nad granicą budowali umocnienia obronne, co miało wskazywać rzekomo na to, że nie szykują się oni do walk zaczepnych lecz do obrony.

Dezertera, który dostarczył tę ważną informację rozbrojono i odesłano do Wielunia na dalsze przesłuchanie. Po kilku dniach od przekroczenia przez niego granicy wybuchła jednak wojna i wszelki ślad po nim zaginął. Jakże były jego dalsze losy — nie wiadomo.

Dzisiaj, z perspektywy lat sądzić można, iż był to być może niemiecki antyfaszysta, który z narażeniem życia przekroczył granicę, by ostrzec Polaków o groźącym niebezpieczeństwie, uniemożliwić hitlerowcom przeprowadzenie ataku przez zaskoczenie. Być może protokół z przesłuchania dezertera lub też bliższe informacje o tym fakcie znajdują się w aktach Centralnego Archiwum Wojskowego.

Na marginesie tej zagadki dodać trzeba, że w identycznych niemal warunkach, w przeddzień agresji hitlerowskiej na ZSRR, linię demarkacyjną między ZSRR a Niemcami przekroczył także żołnierz niemiecki, który pragnął uprzedzić Rosjan o rychłym ataku wojsk hitlerowskich na ZSRR.

Informacje te przekazane na Kreml spotkały się z równie wielką podejrzliwością jak u nas.



Fot. T. Zydler

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE

### LATWA DROGA — TYLKO DLA DOMYSŁNYCH

Tak się szczęśliwie składa, że biuletyn Filmowego Serwisu Prasowego podaje treść omawianych filmów. Tylko dzięki temu zdołałam dowiedzieć się o co właściwie w „LATWEJ DRODZE” (dramat obyczajowy produkcji zachodniemieckiej Reżyseria — Haro Senft, zdjęcia — Jan Czuzlik) chodzi i o czym film traktuje.

Oto co przeczytałam w biuletynie: „Bernard Kral, małomówny bohater filmu różni się od większości swych rówieśników w Niemieckiej Republice Federalnej. Nie chce się przystosowywać, nie ma ochoty na ciągłe kompromisy ułatwiające życie. Mierzi go system ekonomiczno-społeczny, w którym przyszło mu żyć, mechanizmy rządzące karierą i sukcesem, frazeologia, która społeczeństwo wymyśliła dla „ideologicznego” uzasadnienia establishmentu. Będąc przeciwny zastanemu porządkowi społecznemu — jest jednak zbyt słaby, by dać wyraz swemu niezadowoleniu. Jest niekonsekwentny. Jego próby protestu kończą się porażkami. Film Senfta dotyka również problemów przeszłości. Dyskretnie wskazuje na nieumierające (film powstał w 1966) stosu-

nek Niemców do ich wschodnich sąsiadów, wskazuje jak łatwo utrudnionych kontaktów wpłynęły na ograniczenie możliwości dialogu przedstawicieli tego samego pokolenia z sąsiadującymi przecież ze sobą krajami.”

Wprowadzenie to jest konieczne, bo dopiero na jego podstawie porównać można i ocenić zamiary autorów filmu z efektami. Film Senfta jest pozycją z tzw. „Młodego Filmu Niemieckiego” — nowej fali. Określenie „nowa fala” sugeruje zazwyczaj, że film ma ambicje postępowe. Cóż za postępowość względna, zależy od punktu wyjściowego. Trudno oceniać tu postępowość filmu zachodniemieckiego na tle ogólnego dorobku kinematografii tego kraju, bo niewiele mamy okazji do porównań.

Jednakże postępowość „Latwej drogi” rozplywa się w niedopowiedzeniach dialogu, w niejasnościach fabuły wynikających — jak się zdaje — nie tyle z nieudolności warsztatowej, ile z ostrożności. Młody człowiek — Bernard Kral został wyrzucony ze studiów za bójkę uliczną i ukarany wyrokiem sądowym z zawieszeniem. Bójka ma charakter ideowy, bo Kral pobił faceta, który obdarzał inne narodowości epitetami w

rodzaju: Polacy to brudasy. Kral pracuje więc nie w swoim zawodzie, ale na swoje szczęście, że ojciec Krala był antyfaszystą. Ale to tylko dla domyślnych. W ogóle cały film jest tylko dla domyślnych. Skape dialogi urywane w pół wypowiedzianej myśli, są manierą filmu wynikającą chyba nie z koncepcji artystycznej, lecz z niechęci do jasnego wypowiedziania się. Także zakończenie jest dwuznaczne, pozostawia domysłowi widza drogę, jaką obierze sfrustrowany bo-

hater filmu. Sceny w Pradze mają pokazać ograniczenie możliwości dialogu między młodym pokoleniem sąsiadujących krajów o różnym ustroju politycznym. Ale cóż w tym dziwnego, że małomówny Kral nie może nawiązać kontaktu z Czechami, skoro nie może go nawiązać i ze swymi rodakami. Po prostu trudny charakter — nie więcej.

Krytyka niemiecka określiła, że „film jest konwencjonalny w dobrym tego słowa znaczeniu (...) nie formułuje żadnych krytycznych tez, ale z możliwie dużą dokładnością stara się odnotować fenomeny społeczne”. Istotnie, nie ma w „Latwej drodze” krytycznych tez, ale nie ma również fenomenów społecznych. Jest tam normalne środowisko potencjalności społeczeństwa kapitalistycznego, w dodatku tolerancyjne dla młodych. Kral wyduje się po prostu niewdzięcznikiem.

Krytyka niemiecka określiła, że „film jest konwencjonalny w dobrym tego słowa znaczeniu (...) nie formułuje żadnych krytycznych tez, ale z możliwie dużą dokładnością stara się odnotować fenomeny społeczne”. Istotnie, nie ma w „Latwej drodze” krytycznych tez, ale nie ma również fenomenów społecznych. Jest tam normalne środowisko potencjalności społeczeństwa kapitalistycznego, w dodatku tolerancyjne dla młodych. Kral wyduje się po prostu niewdzięcznikiem.

Krytyka niemiecka określiła, że „film jest konwencjonalny w dobrym tego słowa znaczeniu (...) nie formułuje żadnych krytycznych tez, ale z możliwie dużą dokładnością stara się odnotować fenomeny społeczne”. Istotnie, nie ma w „Latwej drodze” krytycznych tez, ale nie ma również fenomenów społecznych. Jest tam normalne środowisko potencjalności społeczeństwa kapitalistycznego, w dodatku tolerancyjne dla młodych. Kral wyduje się po prostu niewdzięcznikiem.

JOANNA SERGONT



LATWA DROGA  
REŻ. HARO SENFT

# Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

## ALFONS MUCHA I FOTOGRAFIA

Alfons Mucha z pochodzenia Czech zyskał w swoim czasie sławę jako ilustrator i twórca plakatów. Po pobycie w Niemczech, Mucha w roku 1887 przybywa do Paryża. Ma wtedy 27 lat. W owym czasie Paryż przeżywa lata niezwykłej żywotności. Burżuazja francuska, która zapomniała już o wydarzeniach i klęskach lat siedemdziesiątych, znajduje się w pełni swego rozkwitu. Bogate i nadal bogacące się mieszczaństwo zamawia u artystów dzieła sztuki, które mają zdobić wnętrza mieszczkańskich domów. Toteż w okresie tego fin de siècle'u malarzom powodzi się dobrze. Mucha nie od razu zdobywa suk-

ces. Dopiero w roku 1895 seria afiszy reklamujących występy teatralne największej artystki owych lat Sarah Bernhardt przynosi mu uznanie i rozgłos. Odtąd Alfons Mucha będzie uchodził za jednego z najznakomitszych paryskich ilustratorów i autorów afiszy. Malarz otrzymuje liczne zamówienia, tworzy plakaty, afisze, ilustruje kalendarze. Tworzy w stylu odpowiadającym modzie owej epoki, zbliżonym do tego jaki reprezentowali malarze wiedeńskiego Secesji czy berlińskiego tzw. stylu Młodości (Jugendstil).

Mucha opuszcza Paryż w roku 1904, gdy jego powodzenie jest u szczytu. Ale podczas kiedy przebywa w swej ojczyźnie w Czechach, styl w

jakim tworzył swe plakaty w Paryżu utrzyma się przez lata następane i posłuży jako wzór jego naśladowcom.

Czas, w którym Mucha przebywał w Paryżu był okresem gwałtownego rozkwitu fotografii. Była to sensacyjna nowość. Oto bez pędzla i farb, bez ołówka i dotychczasowych akcesoriów artysty, można było utrwać wizerunki osób, krajobrazów, przedmiotów. Wielu artystów uznało się za zagrożonych, wielu oburzonych, że fotografia szkodzi malarstwu i sztuce, usurpując sobie to co z dawien dawna było dziedziną artystów. Z mistrzów pędzla jedynie Delacroix u szczytu swej sławy miał odwagę powiedzieć, że używa aparatu fotograficznego i bynajmniej się



Alfons Mucha

tego nie wstydi. Mucha zaś fotografię podporządkował swej pracy artystycznej. Otrzymywał wiele zamówień. Aby je wykonać potrzebował wielu modelek, te zaś były drogie. Szkicowanie trwało długie godziny. Gdyby więc zamiast tego użył fotografii? Jaka oszczędność w czasie i pieniądze? — zastanawiał się artysta.

W owych latach w Paryżu było do nabycia, specjalnie dla artystów, całe serie fotografii kobiecych aktów. W rzeczywistości nie wielu artystów kupowało te zdjęcia. Kupowali je tylko tylko chęcią, choć oficjalnie nazywało się to „pomocami artystycznymi” i były rzekomo przeznaczone dla studentów akademii sztuk pięknych. Mucha posiadał wiele serii tych zdjęć. Nie były mu jednak przydatne, gdyż modelki pozowane były w akademickim stylu, a wiadomo, że reprezentanci Secesji głosili jawnie swój sprzeciw wobec akademizmu w sztuce. Mucha fotografował więc sam traktując to jako pracę zastępczą szkicowanie. Prawdopodobnie zaczął stosować fotografię w swej pracy artystycznej w roku 1895. Niestety Mucha nie miał dobrze wywoływać i powiększać. Negatywów nawet udanych, nie szanował, tak jak nie szanował swych szkiców i często jedno i drugie niszczył, gdy nie były mu już potrzebne w danej chwili. Dlatego stosunkowo mało zdjęć Muchy zachowało się do naszych dni. Lecz te fotografie, które zostały pozwalają nam na dokładne prześledzenie powstawania dzieł Muchy. Otóż niektóre rysunki są niemal dokładną kopią, linia za linią, kontur za konturem, fotografii. Inne zdjęcia służyły tylko za ogólny wzór. Rysunek w takim wypadku nie jest tylko przerysowaniem portretu fotograficznego, lecz własną koncepcją opartą na fotografii. Jeszcze inne zdjęcia stawały się ty-

ko inspiracją dzieła. Charakterystycznym przykładem tego są portrety Sarah Bernhardt. Jak się zdaje Mucha nigdy nie fotografował wielkiej aktorki. Miał jednak jej zdjęcia. Nie kopiował ich. Wystarczył mu widok aktorki na fotografii, by w sposób odrębny i indywidualny oddać jej urodę, wdzięk, nastrój na swych afiszach. Tak więc Mucha nie stał się bynajmniej niewolnikiem fotografii. Sensacyjny wynalazek wykorzystał dla ułatwienia sobie pracy i zaoszczędzenia kosztów.

Trworożność Muchy, przez jakiś czas niemal całkowicie zapomniana, wzbudza znów żywe zainteresowanie ponieważ obserwujemy dzisiaj swoistą modę na secesję.

## CO TO JEST MAJOLIKA?

Co to jest właściwie majolika? Muzeum Narodowe w Sewre pod Paryżem urządza wystawę od początku października zatytułowaną: „Europejskie majoliki od czasów Renesansu”.

Dla Włochów słowo „majolika” oznacza po prostu przedmiot fajansowy najczęściej dzbanek czy talerz pokryty emalią. Poza Italią słowo „majolika” związane jest nierozdzielnie ze wspaniałą ceramiką z okresu włoskiego Odrodzenia.

Wykonywana przez artystów, przede wszystkim toskańskich, majolika podbiła w krótkim czasie Niderlandy, An-



glię i Francję piętnastego wieku, gdzie ceramicy Hiszpanie i Maurowie założyli centrum produkcji na południu w Naponie.

Zdobnictwo waz, talerzy, mis, dzbanków odznacza się w tej dziedzinie ceramiką niezwykle delikatnością, kunsztownością w rysunku i różnorodnością. Motywy bywały najprzeróżniejsze: kwiaty, owoce, trofea myśliwskie, scenki, oraz portrety kobiet. Na zdjęciu wyżej, majolika wykonana przez włoskiego ceramika o nazwisku Dureta, pochodząca z około 1530 r.

Wielu późniejszych, nieraz wybitnych artystów naśladowało majolikę. Do nich należy też Picasso, który z zamiłowaniem uprawia tę technikę ceramiczną.

## MARIONETKI OBRAZCOWA W PARYŻU

„Jak zawsze, z tą samą przyjemnością oglądamy marionetki Siergieja Obrazcowa. Zawsze one zdumiewają” — czytamy w paryskim dzienniku „L'Humanité”. Obrazcow ma zadziwiająco moc ożywiania la-

ców i jego zespół osiągnęli to poprzez ogromne mistrzostwo. Dwunastu artystów porusza laleczki z niezwykłą zręcznością i wprawą. Już natychmiast po odsłonięciu kurtyny sala wybuchła śmiechem na widok laleczki - dyrygenta i jego zabawnych, choć niesłychanie precyzyjnych ruchów. Święty



laleczek. Tym razem zespół występuje w music-hallu paryskim „Olympia”, a tytuł tego lalkowego spektaklu brzmi: „Un concert extraordinaire” (Nadzwyczajny koncert) i jest zabawna, lekka, pozbawiona jakiegokolwiek złośliwości satyrą na rozmaite spektakle operowe, estradowe, teatralne i nawet cyrkowe.

jest np. wiołoczelista. Widzi się wprost, jak jest przekonany o swej wirtuozerii, jak daje wyraz temu swemu przekonaniu. A przecież owym wirtuozem jest tylko laleczka. Jest to śpiewak z manierą bel canto, jest śpiewaczka operowa, chórzystka, tancerze, którzy znakomicie tańczą tango, iluzjonista cyrkowy, tresowane zwierzę-



Najbardziej uderza recenzenta „L'Humanité” fakt, że widz odbiera przemożne wrażenie, że marionetki są istotami żywymi. W jaki sposób może się tak dzieć, pyta i odpowiada, że Obraz-

cow, psy i lwy. A przecież to są jedynie lalki, które zachowują się jak żywe i dlatego recenzent daje tytuł swej notatce: „Marionetki Obrazcowa prawdziwsze niż gdyby były żywe”.

## PAMIĘTNIKI NIEMIEDOMEGO SPIEWAKA

Dwudziestoletni niewidomy śpiewak Gilbert Montagné, którego płyta z nagraniem piosenki „The Fool” została sprzedana we Francji w ilości 900 tysięcy egzemplarzy, postanowił opisać swe przeżycia i doświad-

czenia niewidomego. Pamiętnik będzie miał tytuł „Moje życie”. Wydawca książki zapowiada, że „Moje życie” ukaże się ponadto w alfabetcie Braille'a. Pismo to, jak wiadomo, przeznaczony jest dla niewidomych, którzy czytają je czubkami palców, gdyż składa się z systemu wypukłych kropek.



Sarah Bernhardt na fotografii i na afiszu Muchy

## NIEDZIELI DO NIEDZIELI

### IGRZYSKA

JAK SIĘ NAZYWAŁ MEDALISTA? — WIELE SIĘ ZMieniło — TYCZKA Z WŁOKNA I PATYKA — PROSZĘ Z SZACUNKIEM! — POLSKA WSRÓD MOCARSTW — TAKIE SOBIE OBLICZENIA — SIEDEMDZIESIAT TYSIĘCY LUDZI.

„Już odbił się, już plynął! Boska równowaga Rozpina się jak flaga, Dolata do poprzeczki i z nagłym trzepotem Przerzuca się, jak gdyby był ptakiem i kotem”.

Tak się zaczyna wiersz „Skok o tyczce” z tomu „Laur olimpijski” autor-

stwa naszego złotego medalisty z IX Olimpiady w Amsterdamie w roku 1928. Jeśli ktoś z czytelników tych felietonów zna nazwisko naszego złotego olimpijczyka z Amsterdamu, niech przysła odpowiedź na kartce pocztowej. W nagrodę ofiaruje wydana niedawno książkę owego medalisty.

Bo przecież znów wszyscy zjemy kolejną Olimpiadę.

Wiele się zmieniło od pierwszych nowożytnych igrzysk w Atenach w 1896 roku — powtarzają sportowi publicyści. Amerykanin William Hoyt, który przed osiemdziesięciu sześciu laty wygrał skok o tyczce, dysponował... gładko wystruganym kijem. Osiągnął wówczas zawrotną wysokość 3,30 m. W Mexico jego rodak, Bob Seagren, skoczył 5,40 m, ale posługiwał się już nie klasyczną tyczką, lecz przyrządem do skakania ze szklanego włókna.

Wiele się zmieniło, bardzo wiele. W Atenach ówczesny premier Grecji, Tricoupis, stracił tekę, bo nie chciał dać ani grosza na tę „cyrkową hecę”, dziś mówiącej stanowiącej cenę popularności i Willy Brandt na czas Igrzysk przeniósł się do Monachium.

Pierre de Coubertin nie przewidział, jaką maszynę rozkręcił w 1896 roku. Z roku na

rok Igrzyska stają się coraz okazalsze, coraz więcej satelitów telekomunikacyjnych przekazuje na cały świat obraz sportowych zmagani, coraz więcej państw, coraz liczniejsze ekipy.

Dla przykładu. W pierwszych nowożytnych Igrzyskach w Atenach wzięło udział 13 państw i 484 zawodników. Do Monachium przyjechało... prawie 9 tysięcy zawodników ze 123 krajów. Siedemdziesiąt tysięcy ludzi zatrudniono przy organizacji i obsłudze Igrzysk. Proszę mnie nie posadzać o złośliwość, ale muszę jeszcze podać, że ekipa polska — wraz z działaczami, rzecz prosta — jest piąta co do wielkości. Po NRF, Stanach Zjednoczonych, Związku Radzieckim i NRD. W ten to prosty sposób znaleźliśmy się wśród mocarstw.

Jest trochę gorzej, gdy przyjdzie poczynać inne obliczenia. Publicyści sportowi przyjeżdżają z wskaźnik usportowienia ilość punktów za zwycię-

stwa, przypadającą na milion mieszkańców kraju. Wiadomo bowiem, że kraje małe nie mogą zdobyć tylu punktów, co takie potęgi, jak ZSRR czy USA, więc same „suche” punkty bez tego przelicznika nie dają obrazu sportu w kraju.

I co się okazuje? W roku 1968 triumfowała w tej statystyce... Norwegia przed Węgrami i NRD. Polska była na 19-tym miejscu... tuż za Stanami Zjednoczonymi.

Może ktoś zapyta, po co się bawić w te statystyki i przeliczniki, skoro łączenie — punktowego nieraz — punktu z milionem ludzi jest czystą metafizyką i o niczym nie świadczy. Zgadza się. Wiem przecież, że zwycięstwo Fischera nad Spasskim nie zaprzeczy faktowi, że za radzieckim szachistą stoją trzy miliony szachistów w Kraju Rad, a za Fischerem nikt zainteresowanie tą dyscypliną w USA. Myślę jednak, że przy okazji Olimpiady warto trochę porozmy-

ślać nad podobnymi zestawieniami i obliczeniami, warto poprzemierzać się do różnych wariantów oceny Igrzysk.

Bo jedno jest pewne. I tak się wszyscy „damy zwarłować”, i tak będą przelicznika nie dają obrazu sportu w kraju.

I co się okazuje? W roku 1968 triumfowała w tej statystyce... Norwegia przed Węgrami i NRD. Polska była na 19-tym miejscu... tuż za Stanami Zjednoczonymi.

Może ktoś zapyta, po co się bawić w te statystyki i przeliczniki, skoro łączenie — punktowego nieraz — punktu z milionem ludzi jest czystą metafizyką i o niczym nie świadczy. Zgadza się. Wiem przecież, że zwycięstwo Fischera nad Spasskim nie zaprzeczy faktowi, że za radzieckim szachistą stoją trzy miliony szachistów w Kraju Rad, a za Fischerem nikt zainteresowanie tą dyscypliną w USA. Myślę jednak, że przy okazji Olimpiady warto trochę porozmy-

JERZY WILMAŃSKI

STUART PALMER

# TAJEMNICA DWUNASTU AMETYSTÓW

— Peter, widzę, że sprzedałeś część swoich obligacji — stwierdziła Hildegarda Withers. — Pańsz drogie cygara, masz nowy garnitur.

— Wygrałem na wyścigach. — Przyszedłem zaprosić cię na dobrą kolację do restauracji.

— Niestety, przyjdzie do mnie dzisiaj mój dawny uczeń. Will Stanley. Przyjechał z Australii, był w wojsku. Telefonował, że musi zobaczyć się ze mną.

— Wspaniale! Lubię rozmawiać z dawnymi wojskowymi. Ja także byłem we Francji w 1918 roku i...

— Proszę cię, żebyś go nie zamęczał swoimi wspomnieniami!

Zadrżała słysząc głos dzwonka u drzwi wejściowych. Naciśnięta guzik i za chwilę wszedł do pokoju mężczyzna w mundurze pułkownika lotnictwa.

— Will! — krzyknęła nauczycielka — mój drogi, mały Will Stanley! Wejź dalej, przedstaw się inspektorowi Avonacowi, to mój stary przyjaciel.

Avonac uśmiechnął się pooblażliwie, gdy zobaczył, że „mały” Will przewyższa go prawie o ćwierć metra.

— Jestem szczęśliwy, że panią widzę. Ale chyba przeszkadzam. Przyjdę jutro, dobrze?

— Zostaw te ceregiety, młodzieńcze! Możesz mówić swobodnie, czuję, że masz do mnie jakąś ważną sprawę.

— Pani ma zawsze rację — przyznał Stanley siadając na krześle. — Ta sprawa zaczęła się dwa lata temu, podczas mojego ostatniego urlopu...

— Przypominam sobie! — przerwała mu pani Withers. — Ożeniłeś się wówczas, dostałaś zaproszenie na ślub, ale nie mogłam przyjechać.

— Nie doszło jednak do małżeństwa. Na kilka godzin przed ceremonią cofnięto mi urlop, musiałem wracać, żeby walczyć z Japończykami. Lecz Diana nie chciała czekać, porzuciła mnie dla fabrykanta pudełek, Jima Schluppera. Mieszka obecnie w Plattville. I teraz, dwa dni po moim powrocie, otrzymałem od niej list.

— A w tym liście mówi, że się gorzko zawiódła na fabrykancie?

Młody pułkownik poczerwieniał. — Tego nie pisze, lecz można to i owo wyczytać między wierszami.

— Chciałabym zobaczyć. — Nauczycielka wyciągnęła rękę.

— Przykro mi bardzo, lecz nie zabrałem z sobą listu. Pisze, że potrzebuje pomocy.

— Jak cię znalazła?

— Dowiedziała się o mnie z prasowych zapowiedzi o druku serii artykułów, które napisałem w Australii. Diana wie, że pani jest moją przyjaciółką, znaną z zagadnień kryminologicznych i że pani nieraz już pomagała policji...

Inspektor zakaszał gwałtownie.

— Krótko mówiąc proszę, żebyś zapytał, czy pani zechciałaby podjąć się prywatnie dochodzenia w tej sprawie.

— Will, przykro mi, ale nie zajmuję się rozwodami. Gdyby jakaś zbrodnia, malwersacja, coś w tym rodzaju...

— Zostałem źle zrozumiany. Diana jest wierna mężowi, chociaż jest on nieciekawym typem. Lecz obawia się, że grozi mu obłąd.

— Przecież ja nie jestem psychiatrą! — zaprotestowała kobieta.

Stanley wyjął z kieszeni zbitą zapalniczkę z australijskim emblematem i zapalił papierosa.

— Zaczaj się! Chodzi tu o szantaż. Na początku każdego miesiąca ktoś przysyła Jimowi Schlupperowi ametyst. Jak dotąd przysłało mu pięć sztuk. Biedak jest tak ogarnięty paniką, że Diana nie ma odwagi pytać. Chciałaby jednak wiedzieć, co się za tym kryje.

— Ametysty są droższymi kamieniami — wtrącił inspektor. — Dlaczego pan podejrza, że to szantaż?

— Ponieważ co miesiąc po nadejściu przesyłki Schlupper podejmuje z banku duże sumy i fabryka zaczyna bankrutować.

— Czy Diana domyśla się czegoś?

— Ma pewne podejrzenia. Kilka lat temu pracowała u niej pokojówka Lily Bruce. Została zwolniona na dwa dni przed pierwszą rocznicą ślubu swej pani. Diana spodziewała się, że otrzyma w darze od męża na-

sztytnik z dwunastu ametystów, który podziwiała u jublera w Nowym Jorku. Tymczasem dostała tylko naszyjnik z burztyńców. Podejrzała, że mąż kupił ametysty, lecz podarował Lily Bruce, aby okupił jej milczenie.

— Ciekawe, prawda, Peter? Inspektor przytaknął. — Nigdy nie słyszałem, żeby szantażysta niszczył drogocenny naszyjnik i odsyłał pojedyncze kamienie.

— Will — zapytała pani Withers — czy zauważono jakieś siemple pocztowe mają przesyłki?

— Tak, wszystkie pochodzą z Meksyku, z miasta Acapulco. Diana prosi, żeby pani tam pojechała i odszukała Lily. Może wówczas poznamy przyczynę szantażu.

— Chyba pojedę. Gdzie teraz mieszkasz, Will?

— W hotelu „Astor”. Mam zawrzeć umowę na książkę „Wycieczki po Japonii”. Mój urlop kończy się za dwa tygodnie. Potem mogę tu zostać jako instruktor bombowców, lub wrócić do Australii. Chciałbym wrócić, ale teraz...

— Diana weszła do twojego życia, młodzieńcze. Dobrze, przysięgnij ci wiadomość do hotelu. Tymczasem trzymaj się z daleka od Plattville.

Gdy drzwi zamknęły się za lotnikiem pani Withers zwróciła się do swego przyjaciela:

— Co o tym myślisz?

— Jest dalej zakochany. Przysłuchaj się mu się wykrywając skandal w małżeństwie.

— Peter, czy pojedziesz ze mną jutro?

— Chyba stracił głowę, żeby mi proponować wyjazd do Meksyku.

— A ktoż mówi o Meksyku? Pojadę do Plattville. Tam zaginęła Lily i tam należy jej poszukiwać. Czekać na mnie jutro na Stacji Centralnej o godzinie 10. I weź z sobą rewolwer.

— Dobrze, ale proszę cię, przestań mówić tonem Sherlocka.

— A ty jesteś doskonałym Watsonem...

Gdy następnego dnia rano inspektor przybył na stację, złodź mu jeszcze nie przeszedł. Lecz rozweselił się, gdy zobaczył oczekującą go osobę.

Przed nim stała kobieta w króliczym futrze. Na głowie miała turban, spod którego wyglądały rudawe kosmyki włosów. Twarz była przesadnie uzmiękowana.

— Hildegardo — oznajmił poważnie. — Coś ty z siebie robiła?

— Nie przejmuję się, zawsze miałam słabość do przeblania się. Czyż nie rozumiesz? Lily ma przecież matkę i ja nią będę. Kto ma większe prawo do poszukiwania zaginionej?

— Dobrze, ale chyba nie rezygnuję, żebym...

— Odgrywał rolę ojca? Bądź spokojny i nie przyglądaj mi się tak z otwartą gębą. Podasz się za adwokata, który broni sprawy mojej córki.

Gdy usiedli wygodnie w przedziale nauczycielka przedstawiła swój projekt dalszego postępowania. Avonac słuchał i po jakimś czasie zapadł w drzemkę.

— Obudź się, śpiący królewiczu! — usłyszał nagie. Przyje-

— Jestem Peter Avonac, ad-

wokat ze słynnej kancelarii Avonac, Schreiner i Meller. A to jest pani Bruce, która nam powierzyła sprawę swej córki. O ile mi wiadomo, Lily Bruce nie dała o sobie znaku życia od tego czasu, gdy pracowała u państwa jako pokojówka.

Schlupper przelknął ślinę i rzekł: — Tak, była tu, lecz odeszła dwa lata temu.

— A gdzie jest teraz... wyzywając? — jęknęła kobieta.



Foto: Andrzej Różyczki

Zaprowadziła ich do salonu przeladowanego maszynami meblami. Na ścianach wisiały reprodukcje obrazów w złym guście.

Po kilku minutach wszedł gospodarz.

— Dzień dobry! — pozdrowił ich niepewnym głosem. — Co państwo sobie życzą?

— Moja córka! — wrzasnęła Hildegarda. — Moja mała Lily!

Widząc, że trochę przesadza w swej roli inspektor wtrącił:

Schlupper przygryzł wargi i poczerwieniał.

— Może pani chce porozmawiać z moją żoną?

Zbliżył się do drzwi i zawołał:

— Diana! Diana!  
Żona była pewnie za drzwiami, gdyż zjawiała się natychmiast.

## Dokończenie nastąpi



## Lewym okiem

### BLAZKA ZE SZPIŁKĄ

Jeśli ktoś skończy studia medyczne i uzyska dyplom lekarza, to już taki dyplom jest wyrazem „komisyjnego” uznania jego kwalifikacji, przy czym komisję stanowi wysokie gremium uczonych, do których cały naród ma zaufanie. Czyli dyplom jest wyrazem powszechnego zaufania i tak jest dobrze. I lekarz podejmuje decyzje, dotyczące nieraz życia ludzkiego, a nikt takich jego jednostronnych, a co chwilę podejmowanych, decyzji wiecznie nie kwestionuje.

Błaszka pamiątkowa do przypięcia w kłapie, taka za parę złotych, jest jednak znacznie poważniejszą sprawą niż głupie ludzkie życie.

Kiedy wysokie gremium uczonych, obdarzone mandatem powszechnego zaufania, przyzna młodemu człowiekowi dyplom sędziego, to ten człowiek aż do późnej starości będzie rozstrzygał samodzielnie sprawy trudne i bardzo trudne, dotyczące nieraz wielu lat wolności człowieka, a nikt każdej jego jednostkowej decyzji wiecznie nie podaje w wątpliwość.

Pamiątkowa blaszka ze szpilką jest jednak problemem o wiele istotniejszym niż głupich piętności lat więzienia.

Zaraz wyjaśnię, o co chodzi. Pewna duża i poważna instytucja państwowa wymyśliła sobie, między innymi, taki maleńki sposobik na uczczenie pewnego swo-

jego jubileuszu: blaszany, pamiątkowy znaczek do kłapy. Wydaje się z byle okazji, często nawet sztucznie podkręcanie, okolicznościowy znaczki pocztowe licząc na filatelistów, to czemuż by nie wydać okolicznościowej przypinki?

Jubileusz ma się odbyć we wrześniu. O blaszanej przypince pomyślano w kwietniu, a więc z dostatecznym chyba wyprzedzeniem. Od tamtej pory powstało kilka nowych państw, zginęło parę milionów ludzi, przewalilo się kilkadziesiąt rządów, nasz własny rząd podjął mnóstwo niezmiernie istotnych decyzji, ludzie byli na Księżycu, zbudowali parę milionów domów, zniszczyli drugie tyle. Błaszana przypinka to jednak nie takie byle co.

W maju zaprojektował ją plastyk. Zawodowcy, z dyplomem, otrzymanym z rak uczonego gremium, obdarzonego mandatem powszechnego zaufania... A kuku! Żadnego tam zaufania. Wszystko, bez wyjątku — wszystko, co wymyślił i zaprojektuje plastyk, musi być sprawdzone i uznane przez komisję. Nawet nie wiem, jak się ta komisja nazywa. Pieniądze za poniesiony przez nią trud wpłaca się w każdym razie do Wydziału Kultury odnośnego prezydium Rady Narodowej. Instytucja wpłaciła te pieniądze i czekała na komisję.

Miesiąc czekała, po czym komisja orzekła, że projekt znaczka jest do kitu. Czyli dyplom plastyka nadano mu przez pomyłkę. Czyli zaufanie nie było powszechne i pieniądze na wykształcenie plastyka wydano na próżno, skoro trzeba go ciągle weryfikować i ciągle albo mu dawać dyplom, albo odbierać. A kto powołał komisję — nie wiemy.

Więc projekt znaczka odrzucono. Drugi plastyk (też z dyplomem!) zaprojektował drugi znaczek. Bez akceptacji projektu przez komisję wydziału kultury nie może on być przedłożony do akceptacji wydziałowi spraw wewnętrznych, a bez takiej akceptacji żaden wykonawca nie ma prawa przyjąć zamówienia na wy-

konanie iluś tam egzemplarzy tego znaczka. Żeby przedłożyć projekt wydziałowi kultury — musi on być wykonany na specjalnym papierze, specjalną techniką, w wielkości naturalnej, w wielkości powiększonej, sfotografowany w iluś tam odbitkach, czyli każde przedłożenie, to:

- najpierw narysować,
- potem powiększyć,
- sfotografować,
- powielić —

i już trzy instytucje mają co robić. Ale i drugi projekt komisji się nie podobal. I już był koniec lipca! Jeszcze nie wiadomo, czy znajdzie się wykonawca, i to uspołeczniony. A potem — czy wykonawca będzie miał materiał, emalię, sztańce, czas i „moce produkcyjne”. I mimo to — te zmartwienia wcale nie są największe. Największe zmartwienie, to żeby projekt się podobal właśnie tym dwóm czy trzem czy jednemu panu z wydziału kultury, inaczey nikt go nigdy nikomu nie przypnie.

To samo jest z najmniejszym drobiazgiem, ręce opadają. Wrzesniowy jubileusz za pasem. Instytucja już nie ma ochoty na znaczek i całą związaną z nim korespondencję odkłada ad acta. Ponieważ jest instytucją przemysłową, wykonała w międzyczasie towarów o wartości wielu milionów złotych ponad plan. Być może, że z przypinką to nie takie proste.

Zapytujemy więc tylko od siebie, nie w imieniu instytucji: czy dyplom plastyka nie ma żadnego sensu? Po co mu go dawali, skoro kwestionuje go kto chce i żąda nieustannej weryfikacji? Dlaczego przepisotwórca uznali, że smak estetyczny dwóch czy trzech panów jest na pewno o nieco lepszy niż smak sześciu tysięcy zawodowych, dyplomowanych plastyków? Dlaczego najtrudniejsze do załatwienia, angażujące najwięcej ludzi, czasu, nerwów, mordęgi — są sprawy tak blahe, że aż wstyd o tym pisać?

ĆWIK

Redaguje zespół: Jerzy Wawrzak (redaktor naczelny), Karol Badziak, Konrad Frejlich, Roman Loboda, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Słokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański, Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 98, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamawia reklam. Nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłoszy”. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź, ul. Zwirki 17. Zam. 1833. D-7.